

Mizińska, Jadwiga

Studnia

Obyczaje 17, 38-39

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jadwiga
Mizińska

STUDNIA

Na rogu mojej uliczki, na Kaczych Dołach, obok dogorywających resztek parku Cywińskich, stała studnia. Jeszcze cała i do użytku. Podczas powodzi latem 2001 roku, strażacy i żołnierze urządzili sobie przy niej miejsce odpoczynku i libacji. Kiedy odjechali, pozostawili stertę śmieci, pustych butelek po piwie, wódce, puszek po konserwach. (Na wystawie dziecięcych rysunków, urządzonej w jeszcze wówczas działającym wiejskim klubie, kilka z nich przedstawiało naszych ratowników z butelkami alkoholu...)

POTEM PRZY tej bepańskiej studni chłopaki z okolicy zaczęli wieczorami sportykać się na wino. Dokończyli dzieła zniszczenia zapoczątkowanego przez przyjezdnych. Wyłamali, wyrwali, zniszczyli, co się tylko dało. Zniknął nawet wał razem z korbą. Pozostała tylko odrapana, poszczerbiona cembrowina - tej nie dali rady.

Sponiewierana, zgwałcona studnia nie płacze. Nie widać w niej wody spod zwałów nawrzuconego do środka plugastwa. A nawet gdyby miała czym zapłakać, nikt by nie usłyszał. Nastaly inne czasy – epoka wodociągów, doprowadzających wodę do kranów. Każdemu – osobno.

*Wyrocznia I Ching powiada:
Głębia drewnem objęta
I w studni zamknięta.
Może się zmienić plan miasta,
Miejsce studni jest stałe.
Woda w niej nigdy nie znika
I nigdy nie podchodzi wysoko.
Służyła tym, którzy przyszli uczoraj,
Posłuży tym, którzy przyjdą jutro.
Mądry człowiek niesie pokrzepienie
I zachęca do poczucia wspólnoty.
Złowieszczę,
jeśli sznur się zerwie
zanim woda zostanie wyciągnięta.*

„Wyrocznia” nie przewidziała jednego: że ludzie sami mogą zarówno zerwać sznur, jak też zniszczyć całą Studnię.

W dwa lata po powodzi przyszła susza. Woda z kranów cieknie drobnym ciurkiem, usychają warzywa i kwiaty w ogródkach. Kto ma studnię, ten je podlewa...

Studnia – słowo skojarzone ze studzeniem, ochłodą, chłodem. Ze źródłaną, krystaliczną wodą, sycącą pragnienie, orzeźwiająją. Z wodą-życiem.

Studnia – to głębia, głębia tajemnicy, z której wszelako można uszczknąć drobną cząstkę, wyciągając wiadrem na powierzchnię życiodajny i jej ożywczy dar. Dar niewyczerpany, bo u spodu bije źródło, serce studni. Łącząc to, co podziemne, z tym, co nadziemne.

Wody ze studni wystarczy dla każdego. Dla gospodarzy i sąsiadów. Dla przechodniów i wędrowców. Dla ludzi i zwierząt. I dla ptaków, co przysiadają na korycie do pojenia inwentarza.

Na innej wsi, gdzie spędzałam dzieciństwo, budowano studnie przydrożne. Wspólne dla paru gospodarstw, wydzielone plotem tak, by dostęp do nich miał każdy potrzebujący. Ponieważ do wody było bardzo głęboko, gruby wał, przykryty blaszanym daszkiem, miał korby po obu końcach. Łańcuch na wale nawinięty był tak zmyślnie, że podczas gdy jeden jego koniec z zaczepionym wiadrem wyjeżdżał w górę, drugi, również z blaszanym wiadrem zjeżdżał na dół. Zwykle pracowały naraz dwie osoby – ciągnięcie wody było więc zajęciem towarzyskim już z tego powodu. Nie mogło być mowy o niesprawiedliwości: urządził nie samo narzucało równy podział wysiłku. Z jednym wyjątkiem – tylko jedna osoba mogła „odebrać” pełne wiadro: jednym zręcznym i zdecydowanym ruchem wyciągając je i stawiając na brzegu cembrowiny, na śladzie tysięcy już przedtem razy tam wygniecionym. Była to sztuka, której długo należało się uczyć od dorosłych.

Nie było mimo wszystko sposobu na to, by nie uронić ani kropli, przelewając wyciągniętą ze studni wodę do podstawionego na ziemi wiadra. Każda stracona kropla bolała. Zwłaszcza, gdy w niedzielne popołudnia trzeba było naczepać jej dla inwentarza na cały pracowity, żniwny tydzień, przenieść ją i napełnić wielkie cementowe koryto na podwórku.

Woda była więc skarbem. A Studnia – skarbnicą. O jednej i drugiej myślało się i mówiło z nabożeństwem. Szanowało się je, choć nie skąpiło. Pamiętam, jak kiedyś Tato, zdaniem Mamy, nieuważnie przelewał wodę i za dużo jej przy tym wychlapał. Mama się złościła, a Tato tłumaczył: „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”. Ogromnie mnie to zdumiało (miałam kilka lat): jak to, tu się rozlewa woda, a mowa o wiórach. Tak to zetknęłam się z metaforą – dzięki Studni.

Chociaż praca przy wydobywaniu wody była ponad siły („krwawa” – mawia-

ła Babcia) my, dzieci i młodzież, lubiliśmy ją ogromnie. A to dlatego, że podczas niej można było obserwować wszystko, co działo się na drodze. „Na szosie”, jak mówiliśmy z dumą, bo wówczas mało która wieś miała drogę, tak jak nasza, brukowaną. A w dodatku, po obu stronach obsadzona starymi, cienistymi i niesłychanie pięknie pachnącymi włoskimi orzechami. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że obsadzanie dróg drzewami owocowymi, a zwłaszcza właśnie orzechami, było pomysłem Marii i Jana Kleniewskich, przedwojennych „dziedziców” naszej okolicy.

Przypuszczalnie z tamtych też zamierzonych czasów pochodził zwyczaj stawiania „przy rowie” ławek, na zewnątrz płotów. Jak również raz w roku, przed Wielkanocą, bielienia wapnem drewnianych sztachet. Białe płoty pod zielonymi parasolami drzew o egzotycznym zapachu, to barwy mojej dziecięcej pamięci.

Wieś miała dwa gatunki przestrzeni. Indywidualną, rodzinną, w obrębie podwórka ogrodzonego płotem, oraz wspólną – drogę i wszystko to, co na niej i przy niej. Droga służyła nie tylko po to, by udać się nią w jedną czy drugą stronę, ale i do tego, by na nią wyjść. Spotkać się z sąsiadami, porozmawiać. Starsi siadali na ławkach, młodzi: kawalerka i panny, spacerowali, mijając się i zaczepiając, niektórzy nawet jeździli na rowerach, co nadawało im dodatkowej atrakcyjności i budziło zazdrość.

Do gatunku owej wspólnej przestrzeni należał też teren „przy studni”. Tu, chcąc nie chcąc, spotykało się codziennie najbliższych sąsiadów, rozmawiało z nimi, opowiadało nowiny i plotki.

Specjalistką od wymiany informacji była starsza, ale jeszcze hoża kobieta, zwana Wolną Europą. Każdego ranka, bez względu na porę roku i pogodę, szła od domu do domu, przenosząc nowiny z jednego krańca wsi na drugi.

Stara Gurmińska była osobą wesołą i skorą do żartów, podobnie jak jej zmarły dawno mąż. Opowiadała o nim taką między innymi historię:

„Któregoś tu razu budzi mnie mój i godo: Stacha, wstuń, *Tumek pomarli*.

Ło Jezu kochany – zacynam zawodzić – Któż mi tera będzie lunki sikoł...

– Nie płac, głupio, ady to jo ci godom, ze jo pomarłem – godo mój Tumek.”

„Któż mi będzie lunki sikoł” – któż mi będzie łaki kosił. To powiedzenie jako wyraz najgłębszego żalu, weszło do naszego rodzinnego języka na stałe.

*

Przy studni nawiązywały się między młodymi uczucia i romanse. Już jako dorosła osoba, spotkawszy na ulicy w Lublinie dawnego sąsiada, Zygmunta C., ojca

dorosłych dzieci, dowiedziałam się, że przez lata kochał się we mnie. Jak mogłam się była tego domyśleć, skoro za każdym razem, kiedy przychodził po wodę, niby przypadkiem potraçał i wylewał moje wiadro...

Nasza studnia stała się też słynna z pewnego tragicomicznego zdarzenia. Jeden z młodzieńców, Piotr K., wracając z zabawy, widocznie zmęczony i podpity usiadł na brzegu cembrowiny i się zdrzemnął. Ocknął się dopiero w studni, na samym dnie, po pachy w wodzie.

Szczęściem jego głuche krzyki usłyszeli inni koledzy („winniczki” jak ich nazywała moja Mama, w odróżnieniu od „piwniczków”, preferujących tanie piwa). Wyciągnęli obtłuczonego, przeżalonego i już trzęzawego kumpla na wierzch. I – stał się cud. Od tamtego wypadku Pietrek, uznany za straconego, bo już był całkiem rozpity, nie wziął po dzień kieliszka do ust. Jest jednym z najlepszych gospodarzy, ojcem trzech córek, hodowcą cebuli, buraków i chmielu.

Studnia, zagrożiwszy życiu, uratowała mu zdrowie.

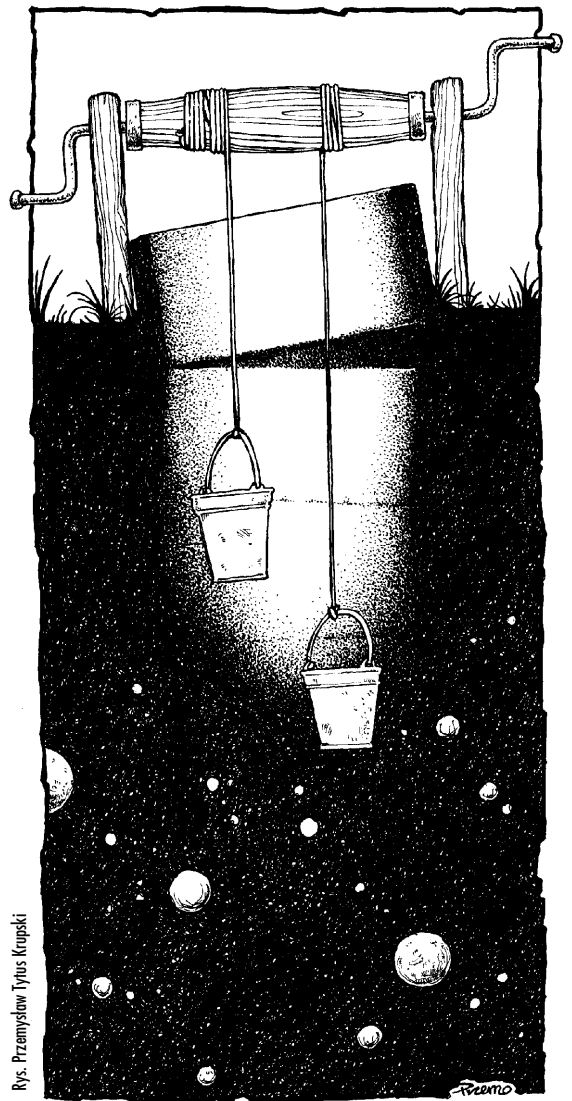
*

„Może się zmieniać plan miasta, miejsce studni jest stałe”. Z żydowskiego Lublina nie pozostało nic poza kilkunastoma fotografiami, rycinami, opisami w nostalgicznym wspomnieniu. Nic – oprócz jednego elementu: Studni, która tkwi w rogu stacji PKS, niedaleko prawosławnej cerkwi przy ulicy Ruskiej. Nie zwracając niczyjej uwagi, tak wrosła w nowy, obcy dla siebie pejzaż.

„Służyła tym, którzy przyszli wczoraj”. Czy „posłuży tym, którzy przyjdą jutro?”

Czy „zachęci do poczucia wspólnoty?...”

Czy są jeszcze gdzieś studnie ze stojącym na ich cembrowinie blaszanym garnuszkiem, z którego może napić się każdy spragniony podróżny? ■



Rys. Przemysław Tytus Krupski

Jadwiga Mizińska

jest profesorem filozofii w Instytucie Filozofii UMCS, kierownikiem Zakładu Socjologii Wiedzy, autorką m.in. książek „Uśmiech Hioba” (1998), „Imiona Losu” (1999), „Herbert Odysseusz” (2001).